

Brak weny jest piekłem dla pisarza. Chwile, w których wszystkie słowa wydają się zbyt małe i niewystarczające, a mityczny Wąż Pomysłów zatapia zęby we własnym ogonie, potrafią złamać nie jednego zdawałoby się hardego ducha. Powiadam wam, każdy choć raz w życiu zwątpi w swoje umiejętności, zaślądzi pośród trudu, straci migoczący w oddali cel i motywację do działania. Wielu zapragnie usiąść i płakać niczym bezbronne dziecko zagubione w wielkiej hali obcego supermarketu, na próżno wypatrujące znajomej sylwetki matki. Wprawdzie nie wszyscy się podźwigną, ale walka z życiowymi niepowodzeniami jest nieodłącznym elementem naszej, ludzkiej natury. Tak więc nos do góry i do roboty!

Kolejne godziny mijały bezowocnie. Jeremiasz dawno przestał się nimi przejmować, tak samo jak wierzyć w to, że kiedykolwiek coś napisze. Żółtawe światło sześćdziesięciowatowej żarówki migotało, zalewając biurko arytmicznie przygasającym kręgiem. Zegar jeszcze niedawno wybijał południe, ale natura, która od kilku dni uparcie pokazywała swoje jesienne oblicze przyniosła wieczną, nużącą i ponurą szarugę. Czarne legiony chmur oblegały twierdze nieboskłonu raz po raz wykrwawiając się deszczem i tłumiąc w zarodku szarżę złotych promieni.

Zwykle pełne życia i radości lasy niemal w niezauważalnie krótkim momencie pokryły się rdzawym nalotem zwiastującym szybką i niechybną śmierć wszystkiego co zielone. Wiosna zdawała się być odległym, abstrakcyjnym tworem. Zimne i mokre dni, pozbawione zbawiennych promieni słońca ciągnęły się w nieskończoność, uparcie dowodząc, że czas jest pojęciem relatywistycznym. Okoliczne ścieżki rozmiękły uprzykrzając tym samym długie spaceru.

Jeremiasz stał się ociężały i ponury niczym pogoda, z którą musiał się borykać. Nasiąkał goryczą wlewającą się do jego świadomości z każdą spadającą z chmur kroplą. O ile do tej pory nie lubił jesieni, tak teraz zdecydował się przekuć swoją niechęć w jawną nienawiść.

Z uporem godnym lepszej sprawy wpatrywał się w puste kartki na próżno wypatrując wymarzonej powieści, zaczątku dzieła, które pomoże mu sprawnie wskoczyć w wartki nurt wydawniczej rzeki, przejść przez nią suchą nogą, powędrować w stronę salonów i usadowić bezpiecznie na wygodnym acz nieznośnie chwiejnym i niebezpiecznym piedestale. Pragnienie sławy nie było jednak głównym motorem jego działań. Najbardziej zależało mu na radości tworzenia.

Zawzięty mózg jak na złość otwarcie szydził z jego pragnień. Wykradał słowa, plątał fabułę, burzył szyk i rytm zdań. Nie pozwalał na zapisanie niczego dłuższego i bardziej złożonego niż schematyczne notatki. Wena, pani szczodra lecz humorzasta omijała Jeremiasza szerokim łukiem. A jej brak jest piekłem dla każdego pisarza.

Miało być tak pięknie. Przygoda, w której wir rzucił się poniekąd nie z własnej woli wiązała się wprawdzie z ryzykiem, ale Jeremiasz gotów był je podjąć widząc szanse jakie przed nim stoją.

Dom, w którym zamieszkał na czas pisania zdawał się wymarzonym miejscem do pracy twórczej. Drewniana, ulokowana nad górskim jeziorem ostoją zapewniała przyjemność obcowania z naturą, ciszę i spokój. Niestety to co wydawało się jej zaletami i ekscytowało szybko okazało się nużącą, szarą codziennością. Cisza zaczynała irytować, cywilizacja początkowo niechciana i pożegnana z radością zaczynała wzbudzać dziwną tęsknotę za dymem, tłokiem i smrodem spalin. Jeremiasz stopniowo odkrywał, że

wbrew własnemu przekonaniu nie ma duszy pustelnika, a to od czego tak uparcie uciekał prawdopodobnie znajdowało się w nim samym. Nie miał jednak siły ani ochoty podejmować się trudu analizy własnej psychiki. Chciał pisać. Miał nadzieję, choć i ona powoli umierała, że czas przyniesie zmiany, na które tak bardzo liczył.

Okolica była prawie niezamieszкана. Gęste, stare lasy o imponująco wysokim i zróżnicowanym drzewostanie sprawiały wrażenie bezkresnych. Okalały swymi mocnymi ramionami jezioro, lecz kiedy wędrowało się zapomnianymi ścieżkami wydartymi w ich wnętrzu człowiek był w stanie uwierzyć, że opasają cały glob. Praktycznie nieskalana ludzką ręką natura wibrowała zdrową, pradawną mocą, epatowała niewymuszoną potęgą.

Jedyne utwardzone drogi prowadziły nad jezioro i do pobliskiego miasteczka. Wszystkie inne szlaki, piaszczyste i kamieniste ścieżki mniej świętokradcze niż asfalt były zasługą lokalnej ludności lub zwierziny. Złośliwi mówili, że tutejsi niewiele różnili się w wyglądzie i zachowaniu od niedźwiedzi, przez co często omyłkowo brano ich za różne mityczne, człekokształtne kreatury włóczące się po okolicy.

Wspomniane wcześniej miejsca, wprawdzie interesujące jednak oglądane po wielokroć niezmiennie w swym nieco wyuczonym uroku nie pokazywały niczego nowego. Jeremiasz znudził się nimi dość szybko. Mimo to uparcie, wręcz rytualnie odwiedzał obydwa te punkty. To była jedna z jego nielicznych rozrywek. Spacerował, wpatrywał się w pustą kartkę lub przy odrobinie szczęścia zapisywał pojedyncze słowa. No i pił.

- Zdecydowanie zbyt dużo – Tak zwykł mawiać sam do siebie – pijesz zdecydowanie zbyt dużo. Kiedyś się stoczysz, stary, zobaczysz. Kiedyś zlecisz na dno.

Póki co zgrabnie utrzymywał równowagę, balansując na krawędzi szklanki z gracją godną wytrawnego cyrkowca.

Jeremiasz rozejrzał się po pokoju. Żarówka wciąż przygasała wyrażając tym samym niemy protest trakcji elektrycznej szarpanej silnymi podmuchami wiatru. W tym ciepłym, miękkim blasku wszystko przywdziewało sztuczne kontury, kolory traciły swój naturalny odcień a każda możliwa scena przypominała wyrwaną ze snu.

Deszcz skalą i rozmachem przypominający biblijny potop wybijał na dachu rytm przyprowadzający Jeremiasza o ból głowy. Nieprzerwane stukanie, chaotyczny galop wybijany raz trójkami, a raz czwórkami irytował swym niezbornym hałasem. Jeremiasz po raz ostatni spojrzął na biurko. Stroboskopowe rozbłyski sprawiały, że wyglądało jak pokaz slajdów. Pokręcił głową w geście pełnym dezaprobaty i powoli przekroczył próg pokoju. Wychodząc zgasił za sobą światło zamykając tym samym kolejny rozdział dramatu pt. „Nowy dzień”.

Snuł się bez celu nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Wszystkie pokoje wydawały mu się obce, zimne i nieprzyjazne. Powoli przemierzał kolejne pomieszczenia, od niechcienia liczył deski boazerii, sprawdzał kolejność wiszących na ścianach obrazów. Poprawiał nieistniejące wady w ułożeniu serwetek, zmyśloną asymetrię rozlokowania mebli, ścierał niewidzialne zabrudzenia i pyłki. Nuda sprawiała, że stawał się nieznośnie pedantyczny.

Dom był za duży jak na jego potrzeby. Piętrowy, z dwoma sypialniami, dwoma łazienkami, pokojem go-

ścinnym, spiżarnią, ogromną jasną kuchnią z wyjściem na werandę oraz masą innych niepotrzebnych skrytek i zakamarków potrzebował czulej i troskliwej opieki kilku mieszkańców. Dla jednej pary rąk stanowił zbyt duży ciężar. Jeremiasz od początku nastawił się sceptycznie względem przeprowadzki w to miejsce. Zawsze żył w małym, ciasnym mieszkanku, obawiał się że ogrom pustej przestrzeni przytłoczy go, przyprawi o agorafobię. Nie miał jednak prawa narzekać. Darowanemu koniowi w zęby się nie zagłada. Najważniejsze, że było tu ciepło, sucho i bezpiecznie. Na wszystkie inne niedogodności musiał przymknąć oko.

Teraz gdy po raz nie wiadomo który zwiedzał dobrze poznane kąty, z łatwością przypominał sobie uczucia towarzyszące mu w dniu przybycia: ulgę mieszącą się z ekscytacją, nagły przypływ inspiracji który niestety uleciał równie szybko jak się pojawił. Podobnie jak energia i siła. Obecnie czuł się wyspany, pusty jak wysuszone truchło myszy złapanej w pułapkę. Nie mógł jednak zawrócić. Wydawało mu się, że zostawił za sobą wszystko to co tłamsiło jego talent, krępowało umysł, wpędzało w sidła beczynośności. To nie był najlepszy moment na kapitulację. Od niego zależało, czy dobrze wykorzysta podarowaną mu szansę, druga mogła się już nigdy nie trafić. Musiał walczyć bo taka była jego natura. Uzbromiony w cierpliwość codziennie siadał pod żaglami papieru czekając na zbawienny podmuch atramentowego natchnienia.

Nie był wybitnym pisarzem. Zawsze bawiła go abstrakcyjna twórczość chowana do szuflady, zabawa formą z pogranicza absurdu i groteski. Bardzo długo utrzymywał, że nie podejmie się zarobkowego pisania bo sprawia mu zbyt wielką przyjemność. Nie chciał przekształcić ulubionej rozrywki w źródło pieniędzy, bał się że wraz z goniącymi terminami, zmaganiem się z wydawnictwami i krytyką zatraci niepokochaną radość płynącą ze stawiania kolejnych liter. Zbyt lubił tworzone przez siebie światy, długie, nużące opisy i pozornie bezsensowne sceny usiane kwiecistymi metaforami, żeby móc ryzykować ich utratę. Ponadto nigdy nie podejrzewał, że sprzeda się na tyle dobrze, aby móc żyć ze swoich dzieł. Swoją twórczością nie trafiał w żadną niszę, ale niestety nie pisał też rzeczy przeznaczonych dla masowego odbiorcy lubiącego lekką, przyjemną lekturę. Nie był intelektualnym snobem ani innym zdiwaczałym hipsterem. Po prostu taka a nie inna forma uprawiania pisarskiego fachu mu odpowiadała. Jego marzeniem było stworzenie powieści idealnej. Czegoś co sprawi, że ludzie będą myśleli, bali się i rozgrzewali mózgi do białości. Od wartkiej akcji ważniejsze było przesłanie, zmiana postrzegania świata, pozostawienie śladu w społeczności. Zarysowanie materii, wywrócenie na lewą stronę świadomości społecznej. Poruszenie serc.

Jak zwykle rzeczywistość okazała się przewrotna.

Napisał kilka ciepło przyjętych książek, które wprawdzie nie rozchodziły się w oszałamiającym nakładzie, ale zapewniły mu spokojne, w miarę dostatnie życie. Zarabiał wcale niegorzej. Ustatkował się, kupił małe mieszkanie na dość ładnie ulokowanym osiedlu.. Jego życie nie było sielanką, ale czuł się dobrze z tym co osiągnął. Bardzo szybko rozleniwiał się i popadł w marazm.

Tak mijały lata, ale w końcu nadszedł moment, w którym w oczy zaczęła zagładać mu wizja wyczerpania odłożonych pieniędzy. Ta odległa ewentualność zmusiła Jeremiasza do podjęcia trudu napisania czegoś nowego, zasilenia swoich funduszy. Z każdą mijającą godziną odkrywał, że nie ma już o czym pisać. Kompletnie wyprany z pomysłów przesiadywał całe dni w domu, próbując stworzyć coś wartościowego. Stopniowo ogarniało go przerażenie.

Nie czuł się najlepiej. Stawał się coraz bardziej pochmurny, odizolowany. Pomocną dłoń podał mu przy-

jaciel, Matt, który często wysłuchiwał narzekań pisarza i kierowany wieloletnią znajomością najzwyczajniej w świecie żałował starego kumpla. Był to człowiek o posturze olbrzyma, aparycji przygłupa i złotym sercu. Wielu zwiodła jego pozorna niefrasobliwość i mało inteligentny wyraz twarzy. Jeremiasz nie znał osoby bardziej bystrej, szczerzej i prostolinijnej. Zawsze dziwił się jakim cudem jego przyjaciel odnalazł się w biznesie. Uważał, że nikt tak dobry i uczciwy nie powinien odnosić sukcesów w świecie rządzonym przez szubrawców i złodziei. Matt zaferował mu swój letni dom, przeważnie pusty o tej porze roku. Miejsce idealne. Raj.

- Masz tam lasy, góry, jezioro, chłopie, same opisy przyrody zajmą ci z tysiąc stron. – Jeremiasz nie potrzebował żadnej reklamy, ale te słowa go wyraźnie zaciekały. – A jakby brakowało inspiracji to znajdziesz tam i kilka ładnych dziewczyn. Oj nie będziesz się nudził w długie, zimowe wieczory.

Stary, dobry Matt. Wierny towarzysz prostych uciech, ale i nieodzowny kompan w nawet największej niedoli. Prawdopodobnie po raz kolejny ratował mu tyłek. Jeremiasz obiecał sobie, że jak tylko skończy pisać postawi mu kilka kolejek w ich ulubionym Berserku. Bez wahania zgodził się na przeprowadzkę i pełen nadziei zapoczątkował nowy etap w swoim życiu.

Tak zaczęła się jego droga, która poprzez różne zawirowania doprowadziła go do domku nad jeziorem.

Pierwsza wizyta w miasteczku nie przyniosła Jeremiaszowi zbyt wielkich nadziei. Podobno każda ludzka siedziba ma swoje mroczne sekrety, historie o dawnych, przeklętych rodach, tajemnice wyniesione jeszcze z czasów kiedy chętniej siadywaliśmy wokół ognisk. Jeremiasz liczył na to, że złapie tu jakiś interesujący trop, coś co natchnie go podstawiając mu pod nos niemal gotową fabułę. Niestety, nudne i przewidywalne miasteczko nie było w żadnej mierze inspirujące.

Mieszkańcy, do bólu stereotypowi i przewidywalni prowadzili tu swoje sielankowe, monotonne życie za nic mając ciekawość Jeremiasza. Nawet nie zauważali jego trudu, nieumyślnie ignorowali wysiłki. Doskonale wychodziło im bycie nijakimi.

Pisarz kilkakrotnie przesiadywał w miejskiej bibliotece przeglądając stare dzienniki, szukając czegokolwiek ciekawego. Niestety ta osada na krańcu świata, architektoniczna perła o krystalicznie nieskazitelnej przeszłości błyszczała tak, że aż w oczy kłuło. Duma mieszkańców, utopia rozleniwionych policjantów w wieku przedemerytalnym, przyjaciel dzieci i samotnych kobiet, bezpieczny i mile wyglądający raj dla pisarza był najgorętszym kotłem na dnie piekła.

Zawiedziony Jeremiasz stopniowo pogrążał się w rozpacz.

Pogrążony w rozmyślaniach nawet nie zauważył kiedy zatrzymał się przed drzwiami komórki. Bardzo dobrze wiedział co znajduje się po ich drugiej stronie. Pośród wielu nieistotnych szpargałów, zapomnianych rupieci leżało błyszczące zbawienie. Strzelba. Jeremiasz zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Tak jak wąż skusił Ewę, tak ta stalowa żmija podstępnie syczała mu do ucha bajki o ostatecznym rozwiązaniu wszystkich problemów.

Zawsze było to jakieś wyjście – zostać współczesnym Rodią. Poświęcić swą niewinność i życie innych na ołtarzu sztuki, dokonać ofiary krwi, oddać najcenniejszy hołd... Nawet nie zauważył kiedy zaczęła mu się podobać ta myśl. A jeżeli nie starczyłoby mu sił zawsze mógł pójść w ślady Wertera. Zostawiłby po sobie testament nie tylko wypisany na papierze, ale i malowniczym wzorem rozmazany po dużej części

pokoju. Strzelbę wyposażono w amunicję doom-doom.

Wiele myśli przebiegało przez głowę Jeremiasza. Niejednokrotnie trzymał swą nową przyjaciółkę w dłoniach, zaznajamiał się z jej kształtem i ciężarem. Za każdym razem jednak brakowało mu odwagi nie potrafił podjąć pierwszego, najtrudniejszego kroku. Teraz był zdeterminowany. Zbierając w sobie wszystkie siły nacisnął klamkę.

Dźwięk dzwonka wyrwał go z letargu. Szybko otrząsnął się i podszedł do drzwi. Zupełnie ignorując fakt istnienia wizjera, pomijając względy bezpieczeństwa i zdrowy rozsądek otworzył je szeroko w pełnym gościnności geście. Starał się nie okazywać zdziwienia.

Zielonooka, niewysoka acz wcale zgrabna blondynka uśmiechała się do niego uroczo. Jeremiaszowi wydawała się dziwnie znajoma, ale nie potrafił odgadnąć gdzie widział ją wcześniej. Była w podobnym do niego wieku, lecz czas nie odcisnął na niej nazbyt wyraźnego piętna.

W krótkiej chwili, zanim grzeczność i chęć uniknięcia niezręcznej sytuacji nakazała im rozpocząć rozmowę Jeremiasz zachłannie cieszył się jej widokiem. Z zawodowego przyzwyczajenia zauważał kolejne szczegóły niewymuszonego uroku, który roztaczała. Miała śliczne, nieco migdałowate oczy. Tęczówki otoczone ciemniejszą obwódką, o ciekawej fakturze zdecydowanie przyciągały wzrok. Usta, pełne i ładnie kształtne najładniej chyba prezentowały się właśnie w uśmiechu. Twarz, delikatnie okrągła i miła przypadła Jeremiaszowi do gustu. Nos, niewielki i ładny dopełniał całości.

Zgodnie z pisarskim obowiązkiem obejrzał resztę jej ciała i im dalej sięgał wzrokiem tym coraz mocniej przekonywał się, że profesja, którą wybrał jest jedną z najlepszych na świecie. Taki widok rekompensował wszelkie niedogodności.

- Jestem Diana – rzuciła uśmiechając się jeszcze szerzej – pewnie mnie nie pamiętasz...

- Pamiętam – przerwał delikatnie. Właśnie uświadomił sobie skąd znał dziewczynę.

Wychowywali się razem, na jednym podwórku. Ich drogi rozeszły się wiele lat temu, jeszcze przed gimnazjum. Zerwali kontakt, aż wreszcie zapomnieli o sobie każde zajęte swoimi problemami. To niezwykle, że spotkali się właśnie tu, na krańcu świata. Jeremiasz, niespecjalnie przesądny, nie wierzył w to, że to opatrność zesłała mu własnego anioła stróża, ale pisarski instynkt nakazywał doszukiwać się drugiego dna w tej niespodziewanej wizycie. Tak czy inaczej, dziewczyna obudziła w nim wiele nostalgicznych, miłych wspomnień, postawiła przed oczami klisze z zamierzchłej przeszłości, obrazki z czasów szczęśliwszych i piękniejszych, w których nawet słońce świeciło inaczej.

– Cóż Diano, wieki minęły... Nie będziemy tu stali, wejdz do środka – dodał wskazując aby podążyła za nim.

Usiedli przed kominkiem i systematycznie, z uporem opróżniali zapasy zielonej herbaty. Długo wspominali stare dzieje. Czuli jak dzielące ich lata znikają, zbliżali się z każdym wypowiedzianym słowem. Od zawsze istniała między nimi dziwna, niezrozumiała więź. Zresztą w ich życiu było wiele niewiadomych. Żadne z nich nie potrafiło wyjaśnić czemu nagle przestali się do siebie odzywać. Zresztą teraz nie było to istotne. Cieszyli się swoją obecnością.

- Dawno nie napisałeś nic nowego...

- Śledzisz moją karierę? – spytał bez cienia ironii w głosie.

- Czytałam co nieco. – odparła uśmiechając się przyjaźnie -Raz nawet próbowałam wziąć od ciebie autograf, ale niestety nie zdążyłam. Poszedłeś wcześniej.

-Musiałem mieć inne rzeczy na głowie – dodał przeproszającym tonem. Bardzo dobrze wiedział, że jeden jedyny raz próbował rozdawać autografy, ale zainteresowanie było nikłe a on sam, najzwyczajniej w świecie nieprzywykły do tego typu imprez uciekł jak najszybciej do domu.

- Nic nie szkodzi. Tak czy siak odkąd usłyszałam, że jesteś w okolicy postanowiłam cię odwiedzić. Jako starego przyjaciela, nie jako wielkiego pisarza.

- Nie przesadzaj z tą wielkością! – Machnął ręką i mimowolnie skrzywił się. Bardzo nie lubił kiedy go przesadnie chwalono. W swej skromności wolał opinie szczere, chociaż niejednokrotnie bolesne.

- W tej chwili obrażasz mój gust! – fuknęła udając obruszenie - Nie, błagam, zamilknij już – dodała szybko wybuchając radosnym śmiechem – Widzę że znowu szykujesz się do przeproszania! Uparty jak zawsze. Pisziesz coś nowego?

- Właściwie od dłuższego czasu próbuję. Bez żadnego skutku. Przyjechałem tu szukać natchnienia.

- Zły wybór. Okolica jest nudna, niczego tu nie znajdziesz. Zresztą jak tak patrzę na Ciebie to widzę, że sam to odkryłeś. Chryste, wyglądasz na dekadę starszego, musisz wypoczywać staruszku! Diana szybko podbiegła do Jeremiasza i wciąż nie przestając się śmiać zaczęła masować mu plecy. Początkowo próbował się wyrwać i przez chwilę walczyli ze sobą chichocząc jak dzieci. Zwariowali: łaskotali się, próbowali wyrwać z wzajemnego uścisku. W tym szaleństwie odkryli dawną radość, odmłodzieli o kilkanaście lat. Bawili się świetnie, nie zważając na to jak śmiesznie musza wyglądać. Opadli na podłogę zziębnięci i zasapani, czując, że zakwasy w brzuchu spowodowane śmiechem nie opuszczą ich przez kilka najbliższych dni.

Wymienili jeszcze wiele zdań, zdecydowanie miłszych niż nakazywała etykieta. Obydwoje musieli przyznać, że dobrze zrobiło im to spotkanie. Dwie godziny później rozstali się, uściskawszy serdecznie i zapewniwszy, że będą się regularnie odwiedzać. Byli samotni i znudzeni życiem, potrzebowali odmiany.

Jeremiasz zagłębił się we wspomnieniach, odnalazł wątek i zaczął pisać. Snuł historię o ludziach, których znał i kochał, o żywotach tak splątanych, że nie sposób było je rozdzielić i opowiedzieć osobno. Zbiegały się one w jednym punkcie, ziarnie zdarzeń, które wykiełkowało niczym płomień na suchym drewnie.

Wszystko zaczęło się od kota.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Rodion, dodano 06.05.2013 08:38

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).